

MARCIN WOJCIECHOWSKI



**EUROPEJSKI WYBÓR BIAŁORUSI
STRACONA SZANSA?**



PISM

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH
THE POLISH INSTITUTE OF INTERNATIONAL AFFAIRS

MARCIN WOJCIECHOWSKI

**EUROPEJSKI WYBÓR BIAŁORUSI
STRACONA SZANSA?**

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

WARSZAWA 2024

© Copyright Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, 2024

Zdjęcie na okładce:

Kryscina / shutterstock

Redakcja tekstu

Katarzyna Staniewska

Redakcja techniczna i projekt okładki

Dorota Dołęgowska

ISBN 978-83-67487-82-5 (pb)

ISBN 978-83-67487-83-2 (epub)

Wydawca

Polski Instytut Spraw Międzynarodowych,

ul. Warecka 1a, 00-950 Warszawa

www.pism.pl

Druk

PHU OLEJNIK - Piotr Olejnik

ul. Eugeniusza Szwanowskiego 2, lok. 3, 01-318 Warszawa

SPIIS TREŚCI

Brama Brzeska	8
Witaj, Europo	15
Dobry sowiecki standard	23
Ciepły człowiek Łukaszenka	26
Urodziny ZPB	37
Kościuszek nasz czy wasz.	44
Wódka, bania, traktor	50
Cyfrowa rewolucja	56
Trzy kobiety	61
Protest po białorusku.	66
Zraniony Łukaszenka	83
Sojusz dyktatorów	98

Cios w Polskę	103
Plac Zmian.	112
Porwany samolot.	116
Migranci szturmują granicę	122
Niezlomny jak Andrzej Poczobut.	131
Wojna jak żelazna kurtyna	136
Zemsta na zmarłych	143
Śmierć Makieja.	148
Nadzieja umiera ostatnia	154
Homo sovieticus novus.	159
Podziękowania	163

Białoruś to najbardziej europejski kraj w byłym ZSRR, a Białorusini są najbardziej proeuropejscy – przekonywał mnie ponad 20 lat temu znany ukraiński dziennikarz Witalij Portnikow, wówczas pracujący w Radiu Swoboda w Moskwie, dziś jeden z najbardziej znanych i cenionych komentatorów w Kijowie. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Białorusi nie znałem, nie czułem jej, była dla mnie jak obca planeta. Kilka razy przejeżdżałem przez ten kraj samochodem w drodze do Moskwy i jeszcze więcej razy pociągami. Z wypraw samochodowych zapamiętałem pustą autostradę z Brześcia do granicy rosyjskiej, tzw. olimpijkę, bo zbudowano ją na igrzyska olimpijskie w Moskwie. Były na niej płatne bramki, gdzie można było płacić w różnych walutach – rublach białoruskich nazywanych wtedy *zajczikami*, rublach rosyjskich i dolarach – a przejazd około 100 kilometrów kosztował równowartość dolara lub euro. Zapamiętałem jeszcze sowieckie stacje benzynowe obsługiwane przez babcie w gumiakach, gdzie najpierw należało zapłacić, a dopiero potem można było tankować. Jeśli się kupiło za dużo paliwa, to wylewało się ono na asfalt. Czasem podbiegał ktoś z kanistrem albo dużym słojem i korzystał, bo opłaconego dystrybutora nie sposób było zatrzymać.

Obrazki z pociągu to zmiana podwozia w wagonie z wąskiego na szeroki tor na stacji kolejowej w Brześciu. Śmierdząca smarami hala fabryczna, robotnicy wyglądający, jakby pracowali w kopalni, stuk, hałas, dźwięk przesuwających się ciężkich maszyn. Realistycznie pokazał to Marcel Łoziński w czarno-białym filmie dokumentalnym *89 mm od Europy*. A na stacjach babcie sprzedające domowe jedzenie: kury, kotlety, *kartoszkę* (ziemniaki), ogórki kiszzone, kapustę i inne przysmaki. Jedzenie było smaczne i rzeczywiście domowe, ale całe zjawisko tak egzotyczne jak handlarze jedzeniem na ulicach w Azji. Babcie nie chodziły na dworzec dla przyjemności, ale żeby sobie dorobić do skromnych emerytur.

Moje wrażenia nijak nie pasowały do słów Portnikowa. – Co on gada o jakiejś Europie... – mówiłem sobie w duchu. A Portnikow z entuzjazmem opowiadał, jak co roku jeździ na wakacje na Białoruś, bo tam jest tak fajnie. Że jest tam tyle europejskich zabytków, kościołów, pałaców, dworów szlacheckich, dobrze zachowanych cmentarzy. A przede wszystkim, że ludzie są tam bardzo otwarci na Europę, bo mają ją w swoim DNA od wieków. I jeszcze – przekonywał – gdyby tylko Białoruś miała szansę wejścia do Unii Europejskiej, to weszłaby tam szybciej i pasowała lepiej niż państwa bałtyckie czy Ukraina, bo jest bardziej ogarnięta, ludzie bardziej wykształceni, pracowici i mniej zdemoralizowani przez komunizm. Byłem w szoku i nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Wydawało mi się to tak odległe od panującego w Polsce i Europie stereotypu Białorusi – ostatniej dyktatury w Europie, sowieckiego skansenu, wielkiego kołchozu, rosyjskiej kolonii – że aż nieprawdopodobne. To było ponad 20 lat temu, gdy świat i Europa Wschodnia wyglądały inaczej. Myśl o wojnie w naszej części Europy wydawała się

nieprawdopodobna, jedynym gorącym konfliktem była dogasająca wojna czeczeńska, a kilka zamrożonych konfliktów wydawało się reliktem rozpadu ZSRR możliwym do rozwiązania drogą rozmów i dyplomacji, jeśli tylko będzie taka wola polityczna.

Dziś – po ponad dwudziestu latach od rozmowy z Portnikowem i prawie ośmiu latach pracy dyplomatycznej na Białorusi – wiem, co ukraiński dziennikarz chciał mi powiedzieć, i że nie były to bzdury, choć jego wizja to tylko jedna strona medalu. Ta druga – bardziej stereotypowa, siermiężna, brutalna i prorosyjska – też jest prawdziwa, zwłaszcza obecnie, choć nie wyczerpuje obrazu tego kraju do końca. Jaka jest tak naprawdę Białoruś? Czy znamy naszego sąsiada? Czy rozumiemy go, odczytujemy i doceniamy jego aspiracje? Czy mamy świadomość lęków i uprzedzeń, jakie wzbudza tam Polska? Czy raczej idealizujemy ten kraj jako część dawnych Kresów i miejsce zamieszkania sporej polskiej mniejszości? Te pytania zadawałem sobie praktycznie codziennie podczas pracy na Białorusi. Gdy już mi się wydawało, że znam odpowiedź, często moja wizja się zmieniała, bo pojawiały się nowe interpretacje, nowe podejścia, nowi ludzie, zaskakujące fakty i zwroty akcji, które nie pasowały do prostego schematu.

Ta książka nie jest dziennikiem, nie jest reportażem, nie jest także klasyczną pracą politologiczną czy problemową, choć korzystam z tych form w różnych momentach. Jest raczej świadectwem tego, jak sam próbowałem odkryć i zrozumieć Białoruś i jak mnie ona przy tym zaskakiwała, czasem pozytywnie, czasem nie.

BRAMA BRZESKA

Wyjazd na Białoruś nie był moim pierwszym wyborem, choć nikt mnie też do niego nie zmuszał. Po ponad dwóch latach pracy jako rzecznik MSZ i zmianie rządu w Polsce pod koniec 2015 r. wiedziałem, że nie wyjadę jako polski ambasador na Ukrainę, choć otrzymałem taką nominację. Trzeba było pomyśleć o wariantcie rezerwowym. Czułem, że nie będę ulubieńcem nowej ekipy, i musiałem się do tego przygotować. Pomyślałem, że jeśli usunę się w cień i wybiorę jakieś mniej znaczące stanowisko dyplomatyczne w jednym z krajów wschodnich, które mnie zawsze ciekawiły, to jakoś przeżyję miotłę związaną ze zmianą władzy. Jeden z pracowników Ambasady RP w Mińsku chciał pilnie wrócić do kraju, postanowiłem z tego skorzystać i zgłosić się na jego miejsce. MSZ przystał na to i tak dostałem nominację na I radcę Ambasady RP w Mińsku. Wielu moich znajomych było tym zdziwionych, ale postanowiłem udowodnić, że moje przyjsie do MSZ to nie był tylko kaprys czy wola ministra, bym na jakiś czas stał się twarzą resortu, ale szczerą chęć zajmowania się Wschodem, regionem, który

pasjonował mnie od czasu studiów. Dobrze znałem rosyjski i ukraiński. Mieszkalem w każdym z tych krajów przez jakiś czas jako korespondent „Gazety Wyborczej”. Żartowałem – choć jest to szczerą prawdą – że zostałem dziennikarzem, by zajmować się Europą Wschodnią, i przestałem nim być, żeby zajmować się nią nadal, bo dziennikarstwo nie dawało już możliwości zajmowania się nią tak jak kiedyś. Nie było zapotrzebowania na głębsze teksty, polityka zagraniczna i jej analiza to nie było to, co masowy czytelnik wysokonakładowego tytułu lubił najbardziej. Skończyły się także środki na wyjazdy, możliwość zbierania materiałów do tekstów w terenie, likwidowano stanowiska korespondentów zagranicznych. Rewolucja internetowa zaczęła zabijać media tradycyjne, zwłaszcza drukowane.

Praca w MSZ wydawała się ciekawym wyzwaniem, możliwością sprawdzenia się nie tylko w teorii, ale i w praktyce, tworzenia czegoś i wpływania na coś, a nie tylko opisywania, komentowania czy objaśniania. Podobnie z wyborem Białorusi. Pracowałem wcześniej jako dziennikarz na Ukrainie i w Rosji, miałem zostać ambasadorem w Kijowie, więc dlaczego nie spróbować poznać Białorusi? Nie znałem jej, ale nie sądziłem, że jest bardzo skomplikowana. W końcu to mały, 10-milionowy kraj. W głowie miałem cały czas słowa Portnikowa o europejskości Białorusi i garść wspomnień z przejazdów przez ten kraj czy delegacji do Grodna czy Brześcia, gdzie byłem dosłownie po kilka dni. Poza tym wizja powiększenia rodziny – żona była w szóstym miesiącu ciąży z drugim dzieckiem – sprawiała, że nie miałem czasu ani ochoty na eksperymenty i zaczynanie przygody zawodowej od zera. Postawiłem na sprawdzone i stabilne rozwiązania, nawet jeśli nie był to wybór moich marzeń.

I tak 16 stycznia 2016 r. przekroczyłem granicę polsko-białoruską w Terespolu z dyplomatycznym paszportem swoją wyładowaną po brzegi kią. Rodzina miała dojechać do Mińska pociągiem w ciągu najdalej dwóch tygodni.

Kilka dni wcześniej kolega z ambasady tłumaczył mi przez telefon, jak mam jechać. – Od Warszawy jedzie pan cały czas prosto – mówił. – Przekracza pan granicę i jedzie pan dalej cały czas prosto. Dojeżdża pan do Mińska i jedzie pan dalej prosto prosektem Dzierżyńskiego. Dojeżdża pan do centrum i jedzie pan dalej prosto. Po przejechaniu centrum jedzie pan dalej prosto. Dojeżdża pan do torów tramwajowych i skręca za nimi w lewo, a potem od razu w prawo i jest pan na ulicy, gdzie mieści się nasz konsulat i gdzie mamy dla pana mieszkanie tymczasowe. Na dole mieszka nasz pracownik, który przekaze panu klucze i powie co i jak – zakończył kolega. I tak się stało. Mimo długiej drogi – około 600 km – nie ma chyba drugiej polskiej placówki dyplomatycznej, do której można by prościej dojechać z Warszawy.

Mińsk jest miastem sowieckim, mocno zniszczonym w czasie II wojny światowej. Jego centrum odbudowano w stylu socrealistycznym, może nawet bardziej czystym niż w Moskwie. Tak się dzieje w miastach mocno zniszczonych przez wojnę, że architekci i urbaniści mogą przy odbudowie łatwiej realizować w nich swe wizje. Poza tym większość powojennych domów budowali Niemcy jeńcy, dlatego są one solidne, funkcjonalne, porządnie wykonane i dość estetyczne, choć utrzymane w socrealistycznej estetyce. Mimo wieku trzymają się nieźle. Komuna w tutejszej architekturze jest na tyle stylowa, zwarta i niezepsuta przez nowoczesność, że rosyjskie seriale i filmy o czasach stalinowskich są kręcone obecnie głównie w Mińsku,

bo w Rosji nie ma już tak dobrze zachowanych dekoracji. W stary świat wkroczyła nowoczesna architektura, podczas gdy w Mińsku centrum pozostało praktycznie bez zmian.

Oprócz socrealistycznego centrum zaskakują nowoczesne bloki na przedmieściach, zwłaszcza wzdłuż głównych ulic wjazdowych, duże centra handlowe, zachodnie fast foody. Nie ma wrażenia prowincji, zacofania, wiejskości czy bałaganu, jak w wielu stereotypach dotyczących Wschodu. Widać rozmach, przestrzeń, szerokie ulice, dużą skalę w projektowaniu przestrzeni, wysokie bloki i czystość, która się rzuca w oczy i na którą zwracają uwagę wszyscy przyjezdni.

Jechałem prospektem Dzierżyńskiego, dziwiąc się, jak to możliwe, że taki tyran, zbrodniarz i zwyrodnialec jest tu wciąż czczony, a z drugiej strony byłem pozytywnie zaskoczony tym, jak Mińsk powitał mnie nowoczesnością. Ten kontrast jest nieodłączny od przebywania na Białorusi. Stare miesza się z nowym. Sowieckość przeplata się z nowoczesnością i odwrotnie. Moje zaskoczenia i rozdwojenie jaźni podzielało potem wielu naszych gości. Stereotyp Białorusi w Polsce jest taki, że to bieda, kołchoz i zacofanie. Gdy na miejscu widzi się coś innego, a w każdym razie nie tylko obraz ze stereotypu, następuje dysonans poznawczy. Ale nie należy także ulegać złudzeniom, dawać się nabrać, że wszystko jest piękne, wierzyć, że prawdą jest to, co widać od strony fasady. Białorusini są mistrzami dobrego wrażenia. Są w ich kraju miejsca nowoczesne i bardzo zadbane, są przeciętne dzielnice, w których podtrzymywany jest dawny sowiecki standard i jako taki porządek. Są także miejsca całkowicie zapuszczone. Na mnie największe wrażenie zrobiły umierające wsie, w których nie mieszka nikt lub prawie nikt, a drewniane parterowe domy wyglądają jak z krainy duchów. Tak jest

niestety w dużej części tego niegdyś głównie rolniczego kraju. Państwo kiedyś typowo wiejskie, złożone z tysięcy miasteczek, wiosek, wioseczek i malowniczych chutorów porozrzucanych po całym kraju, praktycznie zniszczyło tradycyjną wieś i gospodarkę wiejską, zamieniając ją w wielkohektarowe kołchozy, a ludzi przesiedlając do tzw. *agrorodków*, czyli miasteczek wiejskich. Zaczęło się to jeszcze w ZSRR, ale obecne władze kontynuują ten proces i są z niego dumne. Tłumaczą, że tak ludziom będzie łatwiej żyć, że będą mieli dostęp do większego komfortu i niezbędnych usług, co jest oczywiście prawdą, ale ważnym elementem jest także kontrola nad społeczeństwem. System autorytarny musi mieć oko na wszystko i wszystkich. Łatwiej jest skontrolować ludzi w ustrukturyzowanym *agrorodku* niż pojedyncze rodziny rozproszone na obszarze wiejskim, nie daj Boże jeszcze leśnym...

Uderza dysproporcja między stolicą, w której mieszka ponad 2 mln ludzi, a resztą kraju, gdzie oficjalnie mieszka około 7 mln ludzi, a realnie mniej. Białoruś jest jednym z najbardziej zurbanizowanych państw w Europie, a współczynnik urbanizacji (odsetek ludzi zamieszkających w miastach) przekracza 90 proc. Mimo to wiejskość jest bardzo ważną i wyczuwalną kategorią, bo większość mieszkańców miast stanowią ludzie będący nimi w pierwszym, najwyżej drugim pokoleniu. Stąd powszechny szacunek do ziemi i pracy fizycznej, kult dacz, czyli działki, która nie służy wypoczynkowi, tylko uprawie warzyw i owoców, a często także hodowli kur, królików, a nawet świń. Praktycznie każdy ma swoją dachę albo krewnych na wsi czy dom za miastem po rodzicach, gdzie jeździ się w weekendy, na wakacje, w święta, a w sezonie pomaga w przydomowym gospodarstwie, zwłaszcza przy kopaniu ziemniaków, co ma znaczenie wręcz

sakralne – bo jak zrobisz odpowiedni zapas ziemniaków, to przeżyjesz zimę i nie umrzesz z głodu.

Życie na Białorusi, mimo że pozornie nowoczesne, jest ściśle powiązane z rytmem przyrody, co przybysza z Zachodu szokuje. Gdy zaczyna się wiosna, powszechnie ściąga się z drzew sok brzozowy i klonowy dla oczyszczenia organizmu z dioksyn i wzmocnienia go po zimie. Orze się przydomowe działki, sadzi warzywa (przede wszystkim ziemniaki, kapustę, ogórki, cebulę, pomidory), podcina i okopuje drzewka owocowe, przez cały sezon pielęgnuje się ogród, nawozi, wyrywa chwasty, a późnym latem i jesienią następuje czas zbiorów, którego ukoronowaniem jest kopanie *kartoszki*, zbiór i suszenie jabłek, zbieranie grzybów i żurawin rosnących głównie na bagnach i rozlewiskach. Potem z tych darów bożych robi się przetwory, soki, kompoty, powidła, konfitury, dzięki którym można przetrwać zimę. Znakiem dobrego domu i dobrej gospodyni są przetwory własnej roboty – *zakatki*. Do tego jeszcze domowy bimber, nalewki, domowe wino i grzybki. Oczywiście wszystko można kupić w sklepie czy na bazarze, ale spędzanie czasu na dacz i amatorskie zajmowanie się rolnictwem na własne potrzeby to ulubione hobby Białorusinów, tradycja, która ma się dobrze i jeszcze długo nie zniknie.

Swoją daczę ma także Alaksandr Łukaszenka, który często pracuje na niej w weekendy z grupą najbardziej zaufanych współpracowników, co potem pokazuje państwowa telewizja. Nie robi tego bez przyczyny, ale żeby pokazać, że jest taki jak ludzie, nie wywyższa się, rozumie.

Białorusini są z natury nieufni, jak to ludzie o mentalności wiejskiej, której czasem próbują zaprzeczyć, wyprzeć ją lub

nawet ukryć, ale która i tak z nich wychodzi. Są z natury dobrzy, prostoduszni, życzliwi, ale skoncentrowani na zaspokojeniu przede wszystkim własnych potrzeb. Na innych otwierają się dopiero, gdy ich lepiej poznają albo gdy wprowadzi ich w towarzystwo ktoś, kto cieszy się autorytetem lub szacunkiem. Rzadko otwierają się za pierwszym, drugim czy nawet trzecim razem. Czasem trzeba ich poznawać latami, żeby zaczęli traktować cię jak swojego. Ale jak już cię obdarzą zaufaniem, to na całe życie i traktują jak członka rodziny. Jest w tym coś polskiego, podobna do naszej słowiańska gościnność i szczerza dusza, ale zarazem więcej ostrożności, rezerwy i strachu, podyktowanych doświadczeniem historycznym. Przez kolejne pokolenia historia przechodziła tu jak walec w formie najazdów tatarskich, pańszczyzny, wojen, carskiego ucisku, polskiej władzy, przemarszu wojsk Hitlera, sowieckiego terroru i sowieckiej stabilizacji, a wreszcie niepodległej Białorusi i rządów Alaksandra Łukaszenki.

WITAJ, EUROPO

Przełom 2015 i 2016 roku to względnie dobry okres w relacjach Białorusi z Zachodem, początek tzw. normalizacji, częściowej liberalizacji albo łagodnej białorutenizacji – jak różni eksperci nazywali ten proces. Najlepiej nazwać go racjonalizacją stosunków. Po pacyfikacji opozycji po wyborach prezydenckich w grudniu 2010 roku zwolniono prawie wszystkich więźniów politycznych, niektórym emigrantom pozwolono na powrót do kraju, w zamian za co Zachód luzował sankcje. Ponadto w zbliżeniu Mińska z Zachodem wydatnie pomogła Moskwa, która po rewolucji godności na Ukrainie wiosną 2014 roku zaanektowała Krym i rozpętała wojnę na Donbasie. Białoruś zdystansowała się od tego i próbowała odegrać w tym konflikcie rolę mediatora, goszcząc spotkania w tzw. formacie normandzkim, przekształconym potem w format miński. Niewiele z nich wynikało, ale wszystkim było na rękę, że toczą się rozmowy zamiast wojny. Zachód chciał doprowadzić do powstrzymania eskalacji i wciągnięcia Rosji i Ukrainy w jakąkolwiek formę rozmów pokojowych. Moskwa była